

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI
Joe Alex



Zbrodniarz *i panna*



BUKOWY LAS

ROZDZIAŁ 1

Budzik i panna

Budzik zadzwonił. Był to budzik blaszany, o szkle upstrzonym przez muchy i lekko pogiętych czarnych wskazówkach. Pokrywającą tarczę emalię, spękaną i pełną odprysków na krawędziach, poprzecinały brunatne zmarszczki rdzy. Jego głos był także głosem sędziwego mechanizmu: wysoki, nierówny, unoszący się i opadający pośród zgrzytów i wahań.

Małgorzata leżała zupełnie nieruchomo, wsłuchana, rejestrując każdy najdrobniejszy nawet dźwięk i zaciskając powieki, jak gdyby pragnęła odepchnąć w ten sposób falę blaszanego grzechotu, który wypełnił bez reszty mały pokój. Wyciągnęła rękę i nie otwierając oczu, uniosła rozwrzeszczany budzik nad głowę. Przez chwilę trzymała go jak najdalej od siebie, kołysząc nim lekko w powietrzu, póki nie zakrzuszył się i nie umilkł. Dopiero wtedy uniosła powieki.

Leżąc na wznak, z głową w drucianych papilotach, nie była ładna. Nie zmieniając pozycji ciała, sięgnęła lewą ręką po leżące na krześle przy łóżku okulary. Kiedy je założyła, stała się jeszcze mniej ładna, ale jej oczy dalekovidza powiększyły się i nabrały wyrazu. Spojrzała na budzik. Odkąd sięgała wspomnieniami, pamiętała jego głos. Gdy była małą dziewczynką, zrywał do pracy jej ojca. Później wstawali oboje jednocześnie. Ojciec odprowadzał ją do szkoły. A potem, kiedy ojca już nie było, zaczął budzić już tylko ją. Praca w banku rozpoczynała się punktualnie o ósmej.

Małgorzata westchnęła. Miała dwadzieścia trzy lata i nic nie zapowiadało, aby w ciągu następnych dwudziestu trzech, a nawet czterdziestu sześciu lat przestała słyszeć co rano ten przeraźliwy głos, odmierzający jej dni, aż nazbyt podobne do siebie.

Potrząsnęła zegarkiem, który zaturkotał słabiutko i ucichł ostatecznie.

– Chciałabym, żebyś zginął... – powiedziała z cichą nienawiścią, tonem, który ludzie rezerwują sobie zwykle dla innych ludzi. Postawiła budzik na krzeselku. Ciągle jeszcze na pół przytomna usiadła na łóżku i potrząsnęła głową. – Siódma za piętnaście... za piętnaście siódma... – powtórzyła półgłosem i przeciągnęła się. Westchnęła, pozwoliła zsunąć nogi z łóżka i westchnęła raz jeszcze, siedząc z pochylonymi plecami, niewyspana, nieszczęśliwa i pełna bezradnej nienawiści do otaczającego świata.

Sięgnęła po wiszący na poręczy krzesła wytarty, zielony pluszowy szlafrok i pociągnęła go leniwie ku

sobie. Jego poła zaczepiła o leżącą na krześle otwartą książkę, która upadła na podłogę.

Małgorzata wstała, otuliła się szczerlnie szlafrokiem, a potem niechętnie i z ociąganiem pochyliła po książkę.

– Mam zły dzień – powiedziała głośno. – Dlaczego? Chyba wstałam lewą nogą...

Obejrzała się na łóżko, jak gdyby chcąc sprawdzić, którą nogę postawiła na podłodze jako pierwszą. Potem wzruszyła ramionami i wyprostowała się, nie wypuszczając książki. Odruchowo przewróciła w palcach kilkanaście kartek i spojrzała na okładkę.

NIE BĘDĘ KOPCIUSZKIEM

1000!!!! niezawodnych!!!! najlepszych!!!

jedynych!!!! sposobów zdobycia:

Bogactwa – Sławy – Powodzenia!!!!!!!

Rogi były zatłuszczone i postrzępione. Małgorzata położyła książkę na stoliku zajmującym cały środek maleńkiego pokoju, którego ukośne ściany zbiegały się niemal nad jej głową.

Powoli, wlokąc za sobą poły szlafroka, podeszła do okienka ukrytego w jednej ze ścian poddasza. Odgarnęła grubą ciemną storę i po chwili wahania pchnęła lekko końcami palców szybę. Okienko otworzyło się. Do pokoiku wpadło światło pochmurnego, wiosennego poranka i świeże powietrze.

Opierając dłonie na wąskim parapecie, Małgorzata wyjrzała na zewnątrz.

Niskie, brudne chmury wisiały nad dużym, pokrytym rupieciami podwórkiem, pełnym rozpadających się beczek, zakurzonych wózków bez kół, pogiętych rur, złożonych tu kiedyś przez kogoś, zardzewiałych, zbytecznych i nieśmiertelnych. Na jednej z rur siedział okrakiem chłopiec o tępej, zadowolonej twarzy i walił kamieniem w pogięte, rude żelazo rytmicznie, obojętnie, dla samej radości wywoływania hałasu.

Małgorzata znowu przymknęła oczy i otworzyła je, odwracając twarz od podwórka. Spojrzała na chmury: płynęły wolno, nisko, skłębione, szare, niosąc zapowiedź deszczu, a ich cień wędrował po mokrej papie okrywającej dach przeciwległej kamienicy. Nieco niżej było okno, otwarte w tej chwili i odsłaniające wnętrze pokoiku, równie małego jak pokoi Małgorzaty, ale bardziej zagraconego. Półnaga, ładna dziewczyna stała w głębi przed wysokim lustrem, rozczesując włosy i jednocześnie kłócąc się z kimś, kto znajdował się dalej, niewidoczny za załomem muru.

– A co mi mama głowę zawraca? Co mam robić? Siedzieć tutaj i gapić się w okno przez cały wieczór?

Z wnętrza natychmiast nadbiegła odpowiedź, wypowiedziana głosem mniej dźwięcznym, należącym do starszej kobiety.

Małgorzata jeszcze raz westchnęła. Znała na pamięć te wszystkie głosy i znała, chcąc nie chcąc, wszystkie tajemnice i troski ludzi mieszkających w tym domu. Wiedziała, kim jest chłopiec uderzający kamieniem w rurę i dlaczego jest w tej chwili sam na podwórku.

Tak samo dobrze wiedziała, co robiła wczoraj ta ładna dziewczyna i co powie za sekundę jej matka.

– Wstydy! Wstydy i nic więcej! Jeszcze nawet osiemnastu lat nie ma i wraca pijana o drugiej do domu! Moja córka!...

W ostatnich słowach był już rosnący płacz, który nagle wziął górę, głusząc koniec zdania.

– Za mamy pieniądze nie piłam. A jak się mamie nie podoba, to mogę sobie w ogóle pójść do diabła... – powiedziała obojętnym, znudzonym głosem dziewczyna. Odłożyła szczotkę i zaczęła wkładać przez głowę leką, dzienną koszulkę, uważnie podtrzymując palcami krawędzie materiału, żeby nie zburzyć uczesania. – Niech mama lepiej zamknie okno. Ten gówniarz od Gąskowej wykończy mnie kiedyś. Głowa mi już pęka od tego walenia w rurę.

– Sama zamknij, hrabino!...

Mimo to w oknie pojawiła się stara, chuda kobieta, ubrana w brudny, niegdyś purpurowy szlafrok, i zamknęła je z trzaskiem lewą dłonią. W prawej, uniesionej do oczu, trzymała chustkę. Ale zanim domknęła okno, otworzyła je ponownie szerzej i wychyliła się.

– Pani Gąskowa! – zawołała z wściekłością. – Pani weźmie Olka z podwórka, bo żyć ludziom nie daje! – Nie czekając, zamknęła okno na dobre.

Małgorzata wiedziała, że Gąskowa nie odpowie, bo nie ma jej w tej chwili w domu. Sobota: prała od rana u kierowniczkki szkoły. Chłopak zerknął w górę,

uśmiechnął się szeroko tępym, zadowolonym uśmiechem i zaczął uderzać jeszcze szybciej.

Małgorzata cofnęła się, zamknęła okno i odwróciła się, spoglądając w głąb pokoju. Chłodne powietrze przebudziło ją już prawie zupełnie, choć w zakamarkach mózgu drzemały jeszcze resztki snu. Przesunęła oczyma po miejscu, które było jej domem i zawierało wszystkie doczesne dobra, jakie posiadała. Szafa, stolik, łóżko, półka z książkami, na półce małe nowe radio. W kącie parawanik i umywalka, a obok niej puste wiadro, pomalowane na zielono w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, podczas jednej z owych nielicznych chwil rozpaczliwego optymizmu.

Podeszła do radia, otworzyła je i przystanęła, nasłuchując.

– Zboża jare... – powiedziało radio z głębokim przekonaniem – wymagają ze strony rolnika, jak to wszyscy od dawna wiemy, wielkiej uwagi! Szczególnie w maju, który jest miesiącem... – Przesunęła gałkę. Odezwała się francuska pieśniarka, śpiewająca niewielkim, ciepłym głosem o miłości. *Amour* było jedynym francuskim słowem, które Małgorzata rozumiała. Słowo powtórzyło się teraz kilkakrotnie. Ze sposobu jego wymawiania, z intonacji głosu dziewczyna wywnioskowała, że piosenka jest smutna. To ją trochę pocieszyło. Fakt, że w Paryżu kobiety mogą być tak samo smutne jak w Kamocku, wydawał się trochę nieprawdopodobny, ale musiało to być przecież prawdą. Nucąc cicho piosenkę, wzięła swoje zielone wiadro i wyszła na korytarz.

Korytarz był długi i ciemny, oświetlony jedynie małym okienkiem, znajdującym się daleko w jego przeciwległym końcu. Strome, drewniane, mroczne schody opadały w dół ku sieni przesiąkniętej wiecznie zapachem kiszzonej kapusty i ogórków.

Dziewczyna minęła wylot schodów i weszła do znajdującej się na wprost nich wspólnej dla pierwszego piętra kuchni, której drzwi były zawsze otwarte, a wnętrze sprawiało wrażenie absolutnego opuszczenia, bez względu na to, ile osób w niej przebywało. Na jednym z kilku umieszczonych rzędem palników gazowych syczał czajnik z wodą. Obok stała gruba kobieta, najwyraźniej czekająca na zagotowanie się wody.

– Dzień dobry... – Małgorzata podeszła do zlewu i odkręciła kurek.

Woda zadudniła głucho o dno wiadra. Kobieta kiwnęła głową w odpowiedzi na pozdrowienie. Słuchając cichnącego bulgotu wody w wiadrze, Małgorzata przyglądała się bezmyślnie plamie wilgoci, rozpląszczonej jak nietoperz w rogu sufitu. Zakręciła kran i wzięła z podłogi jedną z butelek mleka. Zdjęta z półki garnuszek i po nalaniu mleka postawiła je na wolnym palniku. Wykonując te czynności, zdawała sobie przez cały czas sprawę, że kobieta obserwuje ją, niby niepostrzeżenie. Tak było zawsze. Przyglądali się jej. Może dlatego, że tak bardzo nie lubiła życia tutaj. Ale przecież oni też go nie lubili. Nikt nie mógł kochać tego starego, rozpadającego się domu, który od lat nie zasługiwał na nic więcej prócz rozbiórki.

– Ale po mnie widać, że już nie mogę tego znieść... – pomyślała, idąc z wiadrem ku drzwiom. Głos grubej kobiety dopędził ją w progu.

– Mleka to już se pani sama dzisiaj przypilnuje! Nie będę tu za panią wystawała, bo muszę starego do doktora wyprawić. Zwolnienie ma na dzisiaj z roboty.

– Tak, pani Serdusiak, na pewno...

Małgorzata uśmiechnęła się przymilnie, słabo i wyszła. To znowu był błąd, jak zawsze. Trzeba było zapytać, dlaczego Serdusiak ma zwolnienie, i porozmawiać chwilę z Serdusiakową, rozważając wszystkie podobne przypadki, przypominając tragiczne i szczęśliwe zakończenia takich dolegliwości. Trzeba było wspomnieć o lekarstwach. To zbliża ludzi. Ale nie umiała tego nigdy. Nie dlatego, żeby los Serdusiaka czy kogokolwiek innego nie interesował jej zupełnie. Chwilami, kiedy była bardzo samotna, odczuwała nawet nieprzepartą konieczność rozmawiania z ludźmi. Nie była to chyba jednak prawdziwa konieczność, bo kończyła się zwykle na samotnych spacerach albo odczytywaniu po raz dziesiąty którejś z książek wypożyczonych w miejscowej bibliotece. U podstaw jej zachowania leżała oczywiście nieśmiałość, choroba samotników, rosnąca powoli i nieustannie, zastępująca w coraz większym stopniu kontakty z żywymi ludźmi kontaktami ze światem marzeń, coraz bardziej dziwacznych, coraz piękniejszych i bardziej egzotycznych, coraz dalszych od losu kasjerki powiatowego oddziału banku w maleńkim, ukrytym w zakątku kraju miasteczku.

Postawiła wiadro obok umywalki i spojrzała na budzik, tykający teraz głośno i spokojnie. Siódma. Na dobrą sprawę mógłby zadzwonić dopiero za dziesięć minut. Ale nie lubiła wstawać w ostatniej chwili. Teraz miała czas, żeby umyć się spokojnie, zjeść śniadanie i poczytać jeszcze przed wyjściem. Podeszła do stołu, uporządkowała leżące na nim przedmioty, potem zasłała łóżko i wzięła do ręki książkę. *Nie będę Kopciuszkiem*. Ruszyła z nią w stronę półki, zatrzymała się pośrodku pokoju i przerzuciła kilka kartek. Potem, nie odrywając wzroku od kartki, osunęła się na krzesło i zaczęła czytać. Oparta łokciem o stół, szczelnie otulona szlafrokiem, przesuwała szybko oczyma po tekście: „Wytworne wysławianie się i miły uśmiech zjednują nam zawsze serca ludzkie, bez względu na sytuację, w jakiej się znajdujemy...”.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, bez pukania.

– Mówiłam przecie, żeby se pani mleka przypilnowała! – Gruba kobieta stała w progu, patrząc z otwartą pogardą na siedzącą przy stole dziewczynę, która zniechęconie z książką w ręce. – Smród wali na całe schody, a ta sobie czyta, hrabina!

– Słyszałam już dzisiaj tę hrabinę – przemknęło Małgorzacie przez myśl, gdy zrywała się, zrzucając w popłochu książkę na podłogę. – Kłóskowa powiedziała tak do swojej Marysi.

Jednocześnie zwróciła się do rozzłoszczonej sąsiadki:

– Szalenie mi przykro... („miły uśmiech” – przypomniawszy sobie) – Uśmiechnęła się jak najuprzejmiej potrafiła.

– Co się pani wygłupia?! I czego się pani śmieje jak pomyłona? Idź pani wywietrzyć i pozmywać to, co wykipiało. Niech inni w pani smrodach nie muszą gotować!

– Kiedy naprawdę nie zauważyłam...

– No to niech se pani drugie okulary kupi!

Zatrzasnęła drzwi i zniknęła.

Małgorzata odruchowo zdjęła okulary i otarła szkła o klapę szlafroka. „Wytworne wysławianie się i miły uśmiech zjednują nam zawsze serca ludzkie”. Podniosła książkę, cisnęła ją na łóżko i ruszyła ku drzwiom, młoda, ale przygarbiona, z połami szlafroka wlokącymi się za nią beznadziejnie po ziemi, bezwolna i trochę smutna, choć w rzeczywistości pogodzona z losem.

Gdyby przypuszczała, co przyniesie jej ten dzień, który zaczął się tak podobnie do innych, być może cofnęłaby się z przerażeniem. Ale gdyby dane jej było wiedzieć, jak potoczą się dalej wypadki, umiałaby chyba opanować to przerażenie i pójść naprzeciw temu, co miało ją spotkać w najbliższych godzinach, bez obawy, bez wahania i z bijącym radośnie sercem.

Bo jak miała to udowodnić niedaleka przyszłość, zarówno ciało, jak i dusza panny Małgorzaty Makowskiej kryły w sobie więcej niespodzianek, niż mogłby przypuszczać ktokolwiek, a już na pewno nieskończenie więcej, niż przypuszczała ona sama.

ROZDZIAŁ 2

„On przecież strzelał...”

Zegar na wieży kościoła wskazywał za pięć ósmą, kiedy zdyszana Małgorzata, idąc szybko, wynurzyła się z wylotu wąskiej uliczki, przy której mieszkała, i weszła na rynek miasteczka, nazywany przez wszystkich mieszkańców placem. Plac wciąż jeszcze wybrukowany był kocimi łbami, gdyż miasteczko leżało z dala od wszelkich szlaków komunikacyjnych i obszarów przemysłowych. Ale obok kilku rzędów wozów chłopskich stały już na nim w tej chwili dwie taksówki, na które Małgorzata spojrzała, przechodząc, z zainteresowaniem ciągle jeszcze świeżym, gdyż były nowiutkie, nikt nie zdążył się jeszcze do nich przyzwyczaić i wiązały się w wyobraźni z dalekim życiem wielkich miast, neonami, kobietami w futrach i klejnotach, mężczyznami w białych muszkach i tym wszystkim, co w każdy piątek, sobotę i niedzielę spływało w oczy

mieszkańców miasteczka z niewielkiego, białego ekranu kina „4 Lutego”.

Zaczął padać deszcz i Małgorzata przyśpieszyła kroku, przecinając plac na ukos i kierując się w stronę niewielkiego kamiennego budynku z okratowanymi ozdobnie oknami parteru i wielkimi podwójnymi drzwiami, nad którymi wisiała tablica. Z tej odległości dziewczyna nie była jeszcze w stanie odczytać zapisanych na niej słów, ale знаła je na pamięć:

NARODOWY BANK POLSKI

Oddział Powiatowy w Kamocku

– Serwus, Małgosia! – Inka wynurzyła się z drzwi sklepiku spożywczego i podeszła szybko, wyciągając rękę na powitanie.

– Serwus! – odpowiedziała na powitanie Małgorzata. Ucałowały się przelotnie, obojętnie, jak zwykle to robią kobiety, które żyją w przyjaźni, a widują się często. Ruszyły w stronę banku.

Spojrzawszy na zgrabne pantofelki Inki zgrabnie przeskakującej kałużę, Małgorzata pomyślała przelotnie, że koleżanka, chociaż o pół roku starsza od niej, jest w jakiś sposób o wiele młodsza. Rozwinięty bardziej niż u innych ludzi zmysł krytyczny, towarzyszący zwykle samotnikom, mówił jej to co dnia, kiedy spotykały się rano, żeby wspólnie przetrwać do czwartej za oszkloną, oddzielającą je od klientów ścianką banku. Może działa się tak dlatego, że wszystko, co miała na sobie Inka, było lepiej

skrojone i bardziej dopasowane niż to, co nosiła Małgorzata. W sylwetce Inki było coś zaczepnego, chociaż pozornie nie była ani agresywnie ubrana, ani zachowanie jej nie było wyzywające. Ale każdy ruch, każde słowo było wynikiem nieustannej troski, żeby być zauważoną przez mężczyzn. Idąc teraz pod chmurnym niebem, w kroplach siąpiącego ledwie kapuśniaczku, Małgorzata poczuła lekkie ukłucie nie zazdrości, lecz smutku. To przecież nie była wina Inki, że posiadała tę niezafałszowaną żywotność, która ściąga uwagę ludzi, życzliwość, zaciekawione spojrzenia mężczyzn.

Po wydeptanych już jak stopnie starego kościoła kamiennych schodkach weszły do przedsionka banku i Inka pchnęła szerokie, oszklone drzwi.

– Dzień dobry panienkom...

Stary, stojący w przedsionku strażnik uśmiechnął się na ich widok i uniósł dłoń do czapki. Jego siwe włosy i pochylone plecy stanowiły ogromny kontrast w stosunku do szerokiego służbowego pasa, na którym zwisał ogromny pistolet w lśniącej, nowej kaburze.

– Dzień dobry, panie Stanisławie!

– Jak zawsze punktualnie. Żeby mężczyźni tak punktualnie umieli przychodzić. Ale nasi panowie to co drugi dzień tych pięć, sześć minut lubią sobie dołożyć.

Inka wskazała palcem plakat zawieszony nad wejściem do sali, głoszący:

Czy śpisz dobrze, czy fatalnie,
Stań do pracy punktualnie!

Slogan ten ułożyła kiedyś sama dla szopki amatorskiej, której była duszą, głównym aktorem i autorem.

– Kiedyś pisało tu Bóg, Honor i Ojczyzna. – Stary Stanisław pokiwał głową i odszedł ku drzwiom wejściowym. Małgorzata pomyślała, że jak na jeden prowincjonalny bank to wielkich słów było wtedy o wiele więcej niż możliwości obrotu.

Przeszły przez pustą salę, pachnącą jeszcze trocinami i wodą. Za przepierzeniem, odgradzającym urzędników od interesantów, część personelu była już na miejscu. Niektórzy kończyli śniadania, których nie zdążyli zjeść w domu, inni rozmawiali półgłosem, bo sala była akustyczna i roznosiła szeroko słowa, przekazując do najdalszych zakątków myśli i opinie przeznaczone wyłącznie dla najbliższego sąsiada.

Kasy tworzyły osobne państwo w tym małym państwie – obwarowane i odgródzone od reszty. Były w rzeczywistości żelazną, pokrytą lodowym szkłem klatką, do której wchodziło się przez niewielkie, okratowane drzwi. Tak jak chciały instrukcje, Inka otworzyła te drzwi kluczem wziętym z centralnego sejfu, a potem zamknęła je za sobą i za Małgorzatą.

Powiesiły płaszcze i parasolki na stojącym przy drzwiach wieszaku i usiadły prawie jednocześnie. Tak samo jednocześnie odwróciły się ku stojącym za ich plecami kasom ogniotrwałym. Siedziały naprzeciw siebie za dwoma zsuniętymi razem biurkami, mając z boku zasunięte jeszcze w tej chwili matowymi szybkami okienka.

Małgorzata myślała o porannej awanturze w kuchni. Nienawidziła zmywania bardziej niż czegokolwiek w świecie, a zmywania kuchni gazowej, oblepionej przypalonym mlekiem, bardziej niż jakiegokolwiek innego zmywania.

Niemal automatycznymi ruchami sięgnęły obie, po otwarciu kas, na półki, gdzie leżały przygotowane paczki banknotów.

– Jazda! – Inka zatarła ręce i zanurzyła dłonie w pierwszej z brzegu paczce. Palce jej poruszały się błyskawicznie, odliczając pieniądze, dzieląc je na kupki i zawijając w banderole. Od czasu do czasu ręka chwytiała za kopiowy ołówek i robiła znak na banderoli.

Naprzeciw niej Małgorzata, jak gdyby nagle zwolona ze swej zwykłej powolności, liczyła jeszcze prędzej, tak szybko, że oczom trudno było nadążyć za trzepoczącymi palcami; ich ruchowi towarzyszył bezgłośny szepot.

Po chwili zwolniły obie, kiedy pierwsza partia gotówki została przygotowana. Pracowały teraz spokojniej, równo, jak dwie maszyny wykonujące ciągle te same, powtarzające się ruchy.

– Wiesz... – powiedziała Inka, nie unosząc głowy – w sobotę poznałam fajnego faceta na imieninach u Kowalewskich. Kierownika aprowizacji w pegeerze. Dwadzieścia pięć tysięcy... – Ołówkiem błyskawicznie skreśliła znak. – Przyjeżdża tu co poniedziałek po wypłaty dla nich. Pięćdziesiąt... – Znowu znak ołówka. – Będzie tu o wpół do jedenastej. Pokażę ci go.

Owinęła paczkę banderolą, wysunęła ostry koniuszek czerwonego języka i przejechawszy nim po banderoli, przycisnęła jej kleistą stronę do matowej. Potem, w półobrocie, nie patrząc prawie, cisnęła paczkę na powrót do kasy.

– Miły? – zapytała Małgorzata z zainteresowaniem tym większym, im mniej ją obchodził kierownik pegeeru.

– Bardzo. Chłopak w deseczkę... – Inka uniosła nowy plik pięćsetek. – Właściwie to już nie taki chłopak. Ma tak na oko ze trzydzieści parę lat. Mężczyzna... – Jej ręka zawisała w powietrzu. – Słuchaj?

– Co?

– Pożycz mi stówkę do pierwszego. Niech się świat zawali, ale muszę sobie kupić rękawiczki. Na pewno umówi się ze mną dzisiaj na spacer po obiedzie. Deszcz pada, a do parasolki muszą być. Te skórkowe tak mi się poprzecierały, że nie ma ich nawet jak zszyć.

– Trzydzieści tysięcy... – Małgorzata starannie zapisała liczbę na leżącej na biurku kartce. – Dałabym ci, kochana, ale przecież wiesz. Mam równą stówę do pierwszego, na wszystko... Ale pięćdziesiąt mogę ci dać. Jakoś wytrzymam te kilka dni. Niech kto inny pożyczy ci drugą połowę.

Palce Inki podjęły błyskawiczną wędrówkę, tym razem trzepocząc narożnikami czerwonych setek.

– Pożyczysz pięćdziesiąt?! To faaaajnie! Drugie wezmę od Kowalewskiego. – Wychyliła się, unosząc na sekundę klapkę zamykającą okienko. – Przyszedł do pracy. On ma forszę, ciekawe skąd? Chyba ta żona mu

wniosła. Nic dziwnego, ojciec nadleśniczy... – Znowu powróciła do mielenia stuzłotówkami. Dwukrotnie przekręciła, nie przestając liczyć, dwie setki „twarzami” do góry. Nagle znowu znieruchomiała. – Słuchaj, Małgorzata! Ale przecież dzisiaj idzie znowu wóz po forszę do województwa. Moja kolej...

– Twoja... – Małgorzata uśmiechnęła się. – Pierwszy poniedziałek po piętnastym.

– O Jezu! A on ma przyjść. Małgosia... – Wypuściła z rąk paczkę banknotów, pochyliła się i położyła rękę na dłoni Małgorzaty. – Małgosia, pojedź za mnie. Tylko ten jeden raz, dobrze?... Potem pojedę za ciebie sto razy... Ile zechcesz, słodziutka moja, dobrze?

Małgorzata spokojnie wyswobodziła rękę i jej piękne, wielkie oczy dalekowidza uśmiechnęły się spoza okularów.

– Który to już będzie raz?

– Ja wiem! Nie musisz mi wypominać. Ale teraz już na pewno. Ostatni raz, kochana, jak Boga Kocham!...

– No dobrze. Ale następnym razem już naprawdę cię przypilnuję.

– Nie musisz. Będę pamiętała. Jesteś najlepsza!

Inka pochyliła się nad biurkiem i cmoknęła ją w policzek. Ale tym razem w pocałunku tym było o wiele więcej uczucia niż w powitalnym uścisku, który wymieniła z Małgorzatą na rynku.

– Będę miała rękawiczkiiii!... – zanuciła wysokim, niemal dziecinny głośnikiem. – Będę miała rękawiczkiiii! – Urwała i przyłożyła palce do czoła. – Tylko

jakie? Szare chyba do tego popielatego kostiumu? Wi-
działam w sklepie skórzanym. Są. Mój numer, wczoraj
przymierzałam.

– Tak, szare chyba będą najlepsze. – Małgorzata
skinęła głową, nie odrywając oczu od stosu banknotów,
który topniał przerzucany jej sprawnymi, nieomylnymi
palcami.

Duży złoty zegarek na przegubie opalonej, silnej
męskiej dłoni wskazywał godzinę dziewiątą trzydzieści.
Mężczyzna siedział za stołem, zajęty powolnym mon-
towaniem części pistoletu maszynowego, które leżały,
pięknie oczyszczone i naoliwione, na rozpostartej gazecie.

Po chwili pistolet był gotów. Mężczyzna sprawdził
jednym szybkim, pewnym ruchem działanie magazynka
i umocował go. Potem nacisnął spust. Miękka, pewna
odpowieź. Zadowolony pokiwał głową. Znowu wyjął
magazynek i z leżącego na stole płóciennego woreczka
wysypał na gazetę kilkadziesiąt tępo zakończonych, zło-
cistych naboí. Naciskając kciukiem sprężynę, wsunął je
pojedynczo do magazynka. Potem rozejrzał się.

Zatłuszczony, stary gumowy płaszcz męski zwisał
z poręczy krzesła. Mężczyzna uważnie rozłożył go na
stole, zawinął pistolet maszynowy i spojrzał na zegarek.
Dziewiąta czterdzieści.

Ruszył do drzwi, niosąc płaszcz. Ubrany był w skó-
rzaną kurtkę, bryczesy i długie buty motocyklowe,
zasnurowane aż do kolan. Na progu obejrzał się,
zlustrował po raz ostatni stan, w jakim pozostawił
pokój, i wyszedł. Zamknął za sobą drzwi mieszkania,

starannie przekręciwszy dwa razy klucz w zamku. Sprawdził działanie zatrzasku, naciskając klamkę. Później spokojnie, pogwizdując cicho senną, starą melodyjkę, zszedł na ulicę.

Dom, z którego się wynurzył, był nowy, śliczny i położony nieco na uboczu. To znaczy ulica, przy której stał, znajdowała się w niewielkim oddaleniu od najruchliwszej arterii miasta. Mężczyzna szedł teraz szybko. Skręcił w wąską przecznicę. Obejrzał się. Ale uliczka była pusta. Nie zatrzymując się, sięgnął do bocznej kieszeni spodni i wyciągnął stamtąd małe metalowe kółeczko, do którego przytwierdzonych było kilka kluczyków. Z kluczykami w ręce zbliżył się do stojącego przy krawężniku małego fiata, otworzył drzwiczki, położył płaszczyk na tylnym siedzeniu, a potem wsiadł i rzuciwszy okiem w lusterko, które także ukazało mu absolutną pustkę w perspektywie ulicy, zapuścił motor.

Mały fiat ruszył. Małał szybko w oddaleniu, wreszcie zniknął, skręciwszy ostro na skrzyżowaniu.

KLASYKA KRYMINAŁU



Śledztwo w nadmorskim kurorcie

Małgorzata, jako jedyny świadek napadu, ma rozpoznać mordercę. Prowadzący dochodzenie kapitan Ziętek zabiera ją do popularnego kurortu, w którym prawdopodobnie przebywa zbrodniarz, gdzie udają parę wczasowiczów. Przestępca rozszyfrowuje jednak plany milicji i ucieka. Mimo opieki Ziętka dziewczyna znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI (JOE ALEX). Pisarz i tłumacz. Jako jedyny przetłumaczył wszystkie utwory Williama Shakespeare'a. Autor przekładów dzieł klasycznych, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych, które doczekały się znakomitych ekranizacji z udziałem gwiazd polskiego kina.



bukowylas.pl

Cena: 34,90 zł